

Leopoldowi K.

Znana to prawda, że w życiu każdego człowieka bywają chwile dobre, do których chętnie wracamy myślami i takie, których wspominać nie chcemy. Jednym z takich miłych sercu wspomnień jest i długo dla mnie pozostanie, jakże krótki niestety, czas spędzony w zasięgu wzroku Maestro.

Gdy po raz pierwszy zaszczycił mnie spojrzeniem stwierdził bez wahania: *A ty jesteś wariat*. Co było robić, potwierdziłem to spostrzeżenie, w końcu miałem od lat tak zwane *żółte papiery*.

A Maestro znany był z tego, że spojrzał i od razu wiedział co w człowieku siedzi. Jak na tym cygańskim weselu, do którego o mały włos by nie doszło, bo rodzina Pana Młodego podała w wątpliwość dziewictwo Panny Młodej. Tragedia wisiała w powietrzu; panna zgodziła się poddać badaniu, ale pod warunkiem, że przeprowadzi je *gadzio-*

tym słowem, które dosłownie znaczy wujek, Cyganie nazywają kogoś bardzo bliskiego, zaufanego. Kiedy Maestro nam o tym opowiadał od razu spytaliśmy jak to dziewictwo sprawdzał? Liczyliśmy na pikantne szczegóły, ale zakpił z nas mówiąc:

Co za pytanie, wystarczyło mi spojrzeć jej w oczy i już wszystko wiedziałem.

No to teraz już wiecie co nieco o mądrości życiowej i przenikliwym spojrzeniu Maestro. A Panna Młoda też jak widać wykazała sporo odwagi i sprytu. Uczta weselna była wspaniała, wszyscy jedli z talerzy znanej firmy Rosenthal, tylko przed Maestro stał obtłuczony, stary talerz.

Dlaczego? Ano dlatego, że firmowa zastawa pochodziła ze sklepu, tyle tylko, że, jakby to delikatnie powiedzieć, nie była kupiona. A nasz Maestro od razu się tego domyślił i oświadczył, że na takim serwisie jeść nie zamierza.

Tę i wiele innych wspaniałych opowieści usłyszałem z ust Maestro upalnym latem 2003 roku spędzając wieczory na tarasie domu wypoczynkowego TSKŻ *Śródborowianka* zbudowanego pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku, w modnym wówczas stylu *Art Deco*.

Po wojnie jedno skrzydło budynku spalili Sowieci, a resztę przebudowano. I tak piękny przedwojenny pensjonat dla warszawskiej elity wyznania mojżeszowego zamieniono w jednogwiazdkowy/gwiazdka na szczęście pozostała sześcioramienna/dom wczasów pracowniczych. Ja miałem odpowiedzialne zadanie dbać, by Maestro na tym turnusie niczego nie zabrakło, szczególnie ulubionego soku owocowego, a czasem, gdy miał lepszy dzień szklaneczki/ zawsze jednej/ zimnego piwa.

My, gromadka niedobitków po Zagładzie, co tak jak Maestro cudem uniknęliśmy śmierci, słuchaliśmy długo w noc barwnych opowieści z życia Ostatniego Klezmera Rzeczypospolitej, szczęśliwi, że tu właśnie jesteśmy. Większość tego, co usłyszeliśmy nie mogę ujawnić, sporo anegdot nie nadaje się do powtórzenia, dlatego może przytoczę tylko jedną; o tym, jak dzięki muzyce Maestro przeżył pobyt w jednym z obozów koncentracyjnych we wschodniej Galicji:

Wiele razy byłem pewien, że to już koniec, na przykład wtedy gdy komendant obozu miał urodziny. Spytałismy jak to było i usłyszeliśmy, że szwab lubił muzykę choć miał drewniane ucho. I jeszcze do tego uparł się, że na swoje urodziny zagra kumplom z SS na akordeonie, a Maestro ma go tego grania nauczyć, albo dostanie kulkę. Faktycznie, w dwa tygodnie nauczyć głuche na muzykę esesmańskie bydlę gry na wcale niełatwym instrumencie- to wręcz niewykonalne. Ale Maestro się nie poddał, w końcu stawką było jego życie. Występ się odbył przy mocno już podpitej widowni, a genialny nauczyciel muzyki mógł chociaż tym razem zaspokoić głód. O takich przeżyciach opowiada się tylko bliskim osobom, albo tym, których los doświadczył w podobny sposób.

Oczywiście nasze wieczorne *posiady* na werandzie *Śródborowianki* odbywały się według ściśle określonego porządku; Maestro opowiadał, a my słuchaliśmy. I biada temu, który ośmieliłby się ten porządek zakłócić i przynudzać towarzystwo swoją opowieścią. Takiemu typkowi Maestro fundował dość okrutną zabawę-po prostu zachęcał go słowami:

Mów Pan Dalej.

Tyle, że to

dalej

nie było wezwaniem do kontynuowania monologu, lecz zachętą, by delikwent oddalił się na odległość, z której nikt go nie usłyszy.

Tego letniego turnusu w *Śródborowiance* nigdy nie zapomnę z powodu upału i Maestro. *Gorąc* był tak straszny, że panie mdlały w ramionach mężczyzn i musiały być na rękach wynoszone do pokoi, gdzie były następnie reanimowane znaną i sprawdzoną metodą *usta-usta*

. To, w jaki sposób okazywały wdzięczność ratownikom, pozostawmy w strefie domysłów i niedomówień. Zdarzały się także i to coraz częściej przypadki udaru słonecznego prowadzącego do pomieszania zmysłów przez co nasz przedwojenny pensjonat dla bogatych Żydów staczał się malowniczo do roli Domu Wariatów.

Ja w czasie dnia uważałem by Maestro mi się nie przegrzał, dlatego gdy tylko zaczęły się upały pojechałem na jarmark do Otwocka by tam nabyć dla Maestro elegancki biały letni kapelusz z szerokim rondem ozdobiony czarną wstążką- *Made In Italy*, wyprodukowany w Chinach. Sam

zaś zwykłym nosić na głowie wiejski

słomkowiec

w stylu stracha na wróble. Całości mego stroju dopełniały białe szorty i gustowny fartuszek z *sex-shopu*

. Umundurowanie to było oznaką mojej godności bo Maestro, który mówił o sobie, że wyszedł z wojska w stopniu

spółkownika

z zawsze gotową do użycia buławą marszałkowską trzymaną w ...no mniejsza z tym, mianował mnie Naczelnym Wariatem Turnusu. Czuję się w tej roli doskonale i co rano przy śniadaniu odczytywałem komunikat Radia Erewań o aktualnej sytuacji i postępach leczenia najcięższych przypadków. Postępy były zresztą niewielkie bo pacjenci rozsmakowali się w obłędzie i nie poddawali się leczeniu. Nic dziwnego, bo podstawą kuracji były zajęcia ruchowe, czyli dzikie tańce wieczorową porą ciągnące się daleko w noc połączone z przyjmowaniem leków na spirytusie czyli wysokoprocentowych napojów wysokowych ordynowanych

po uważaniu

czyli zgodnie z życzeniami pacjentów. Z zaopatrzeniem naszego

psychiatryka

w leki nie mieliśmy problemu, bo nocny sklep z alkoholem znajdował się dość blisko.

Oficjalny program zajęć obfitował w imprezy kulturalno-kulinarne, między innymi konkurs na najlepszą potrawę kuchni żydowskiej. Maestro był w swoim żywiole-tu, w kuchni także był artystą. Postawiliśmy na Niego cały, nielegalnie zgromadzony zapas alkoholu i nie zawiedliśmy się; wygrał jak to się mówi w cuglach potrawą o nazwie *Gicz Indycza Po Żydowsku*. Nie obyło się też bez małej afery bo z sześciu giczy cztery trafiły na stół jury, a reszta hołoty musiał się zadowolić pozostałymi dwoma. Mnie się dostały już tylko dwie wspaniałe, długie, kości piszczelowe, które po ogryzieniu przywiązałem na długich różowych wstążkach do mojego *słomkowca*

by wyglądać jak prawdziwy dzikus, macho i ludożerca. I tak minęły nam pełne dwa tygodnie leczenia i trzeba było niestety opuścić naszą klinikę i jej Naczelnego Lekarza czyli Maestro.

Ale Śródborów to nie było moje pierwsze spotkanie z człowiekiem, który już od dawna jest legendą krakowskiego Kazimierza i gwiazdą pierwszej wielkości światowej muzyki klezmerskiej, która to muzyka teraz przeżywa wspaniały okres. Dziś tej muzyki, która miała zamilknąć na zawsze, a jej zapisy nutowe miały spłonąć wraz z wykonawcami w ogniu Zagłady, dziś tej muzyki słuchają miliony ludzi we wszystkich krajach. Jej powrót, jej odrodzenie z popiołów wraz z całą kulturą mojego narodu, jest triumfem życia nad śmiercią i optymistyczną prognozą dla przyszłości naszego globu.

Po raz pierwszy zobaczyłem Maestro w restauracji *Klezmer Hois* na Kazimierzu. Siedział

niedaleko, razem z Wojciechem M. -sławnym twórcą i wykonawcą piosenek i drugim Wojciechem O., właścicielem Domu Klezmera /hois to po jidysz dom/. O ile dobrze pamiętam trzech biesiadnicy konsumowali jakiś przeźroczysty płyn podawany w tradycyjnym grubo rżniętym szkłe i o czymś dyskutowali. Potem był koncert Maestro i jego śpiewających dziewcząt-pięknych, bo jak mówią wtajemniczeni jedną ze sztuk pięknych jest muzyka, której najlepiej się słucha i ogląda, gdy jest wykonywana przez piękne sztuki. Ale one nie tylko były piękne, miały też świetnie postawione głosy, co na polskich estradach za często się nie zdarza. Kiedyś spytałem Maestro jak wyszukuje te talenty. Spojrzał na mnie z politowaniem i odrzekł; *No wiesz, raz usłyszę i już wiem czy tam jest głosisko czy go nie ma. A potem już tylko trzeba to głosisko z niej wydobyć*. Jak to wydobywanie wygląda przekonałem się, słuchając /za kotarą, żeby mnie nie zobaczył/ jednej z prób. Tego co zobaczyłem i usłyszałem lepiej nie opisywać, ale efekt- jak w reklamie proszku OMO- gwarantowany, zero reklamacji.

Zamarzył mi się koncert Maestro i jego zespołu w mieście Oświęcimiu. Ależ się wszystkim naraziłem. No bo jak to można grać żydowską muzykę w mieście, które tak się kojarzy. Ale się uparłem, w końcu odległość Sali Koncertowej od byłego obozu zagłady wynosiła kilka kilometrów, miasto liczyło ponad czterdzieści tysięcy mieszkańców i po wojnie nikt tu nie słyszał żydowskiej muzyki wykonywanej *na żywo*. A ja bardzo chciałem właśnie tu udowodnić, że ta muzyka wciąż żyje. I udowodniłem. Maestro nieraz wspominał ten koncert mówiąc:

Ty to mi zrobiłeś niezły Oświęcim.

Szczera prawda- sala była niedogrzana. Ale przyjęcie przez publiczność nadzwyczaj gorące. Jak obaj dożyjemy powtórzymy imprezę w Oświęcimiu w lecie, na osiedlu, na wolnym powietrzu by każdy mógł usłyszeć.

Potem poprosiliśmy Maestro by razem z Martą B. wystąpił na naszym Zjeździe Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu w Ustroniu. Nie mieliśmy kasy by opłacić taki występ, ale koncert się odbył po cenie promocyjnej. Maestro prosił tylko żebyśmy nikomu nie mówili ile zapłaciliśmy, bo go środowisko muzyczne wyśmiej. A ja przeżyłem chwile grozy: Wiedziałem, że jeżeli jeszcze do tego wszystkiego instrument, w tym przypadku stare pianino w Domu Wczasowym, nie będzie stroił to z imprezy nici dlatego sprowadziłem ze Skoczowa stroiciela. Wyglądało, że wszystko jest OK., ale w dniu występu usiadłem, jeszcze raz przeleciałem po klawiszach i od razu spocilem się jak mysz; jedna ze strun *puściła*. Czasu zostało niewiele, rzuciłem się do samochodu i pognałem do Skoczowa. Zdążyłem. Stroiciel zrobił co potrzeba i był obecny na koncercie bo ja już wiedziałem, że kiedy gra Maestro, to nie oszczędza ani fortepianu ani siebie. Wszystko się udało znakomicie. Po kolejnych bisach i owacji na stojąco, para znakomitych artystów-Maestro i Marta B. uświetniła naszą skromną kolację szabasową na około dwieście osób. Koleżanka Zosia R. najbardziej uczona z nas wszystkich, odmówiła po hebrajsku tradycyjne błogosławieństwo przy zapaleniu szabasowych świateł, a Leszek A. z Zakopanego, udał, że mu się wszystko pomieszało; po żydowskim błogosławieństwie ostentacyjnie się przeżegnał i wrzasnął Amen.

Długo wspominaliśmy ten wieczór.

Zdobyłem zaufanie Wielkiego Muzyka do tego stopnia, że powierzył mi ważną i odpowiedzialną misję sprowadzenia z miasta Bielsko-Biała pięknie, firmowo opakowanej, największej butelki Wódki Dębowej. Wódkę tę produkował zakład, w którym Maestro niedawno gościł. Dyrektor tego zakładu w dowód uznania dla osoby Artysty ofiarował był ten dar, który ja miałem dostarczyć do miasta królewskiego Krakowa. Nic trudnego, pomyślałem, przy okazji się załatwi. Ale się przeliczyłem. Okazało się, że w Bielsku są dwa Monopole, a nie jeden. Ten stary zakład wszyscy znali, gdzie jest nowy nie wiedział prawie nikt oprócz pracowników. Po godzinie błądzenia samochodem i rozpytywania ludzi znalazłem wreszcie tę supernowoczesną propinację czyli wytwórnię wódek i zostałem przyjęty przez dyrektora, którym okazała się... Ano właśnie-bardzo elegancka i dobrze zbudowana pani w wieku jeszcze całkiem, całkiem. Gdy wyjaśniłem czym jestem posłańcem uśmiechnęła się, wzruszona prosiła żeby przekazać Maestro najserdeczniejsze pozdrowienia i podziękowanie za wszystko. Nigdy bym nie spytał co oznacza to tajemnicze *wszystko* bo otrzymałem staranne wychowanie w młodości. Teraz na nieszczęście, tak jak większość w miarę starzenia się tracę dobre maniere wraz z włosami.

Obiecałem, że podarunek przekażę, słowa powtórzę i wyszedłem. Ale zazdrość o panią dyrektor Monopolu żarła mnie okrutnie. Dlatego w Klezmer Hojs, kiedy stawiałem na stole pięciolitrową butelkę najlepszego i najdroższego polskiego trunku, w obecności Maestro, Jacka C. i Wojtka O., życzyłem całej trójce biesiadników Dębowego Kaca po spożyciu Dębowej Wódki. A w drodze powrotnej z krakowskiego Kazimierza kłamię jak szewc bo byłem już pewny na sto procent, że prezent, który przekazałem Maestro – wódka Dębowa- jest wyrazem uznania pięknej kobiety dla niekoniecznie muzycznego kunsztu, który zaprezentował jej Maestro. No cóż, jak się jest Maestro to jest się mistrzem we wszystkim. W muzyce też. A co!

Od tamtego upalnego lata 2003 roku minęło sześć długich lat. W moim życiu wiele się wydarzyło; wyjechałem do *Erec Izrael*. Każdego lata odwiedzałem Polskę i spotykałem się z Maestro, który obecnie pozwala mi mówić do siebie Poldku-z czego jestem bardzo dumny. Niedawno znowu widziałem się z Nim w *Klezmer Hojs* w Krakowie i po raz kolejny dostałem zaszczytu posiedzenia przy Jego, tylko Jego stoliku-na wprost wejścia. Wymieniliśmy się najnowszymi dowcipami, a potem Poldek spytał: *A masz ty nagranie video mojego koncertu w Synagodze Tempel z 2002 roku?* Ano nie miałem. *To idź z panią kelnerką do biura Wojtka-dostaniesz*. No i dostałem.

Pamiętam ten koncert, byłem tam, ale nie wtedy jeszcze nie miałem świadomości, że

Maestro

Wpisany przez Jerzy Bander
Środa, 04 Listopad 2009 07:50 -

uczestniczę w czymś niezwykłym. Minęło kilka lat i ten właśnie koncert przeszedł do legendy krakowskiego Kazimierza. Wiem nawet dlaczego: Poldek w szczytowej formie, Kasia-Katarzyna Jamróz w zaawansowanej ciąży śpiewa z niezwykłą mocą-Poldek mówił, że śpiewali w duecie-Ona i jej nienarodzone dziecko, które miała tam, pod sercem. Siedzę w fotelu i słucham, i patrzę. Wspaniałe wykonanie, niezwykle, magiczna moc dźwięku. Muzyka Poldka, wstrząsająca elegia ku czci świata, co zniknął na zawsze z naszej planety, ta muzyka- wrywa mi serce po kawałku!

Myślę sobie; ładnie to tak Maestro wrywać kawałki serca żydowskiemu sierocie, który tak jak Ty cudem przeżył Zagładę? No cóż, wszyscy wiemy, że w życiu nie ma nic za darmo; za tamto wspaniałe lato z Poldkiem należy się Jemu zapłata. Znam Go-forsy by nie wziął za nic w świecie, ale serce, kto wie, może przyjmie?